



tekst

KAROLINA PAWŁOWSKA

redaktor wydania

Rok temu doszło do największej od czasów II wojny światowej katastrofy w polskim lotnictwie wojskowym. Ból rodzin lotników nie skończył się wraz z medialnymi doniesieniami o katastrofie pod Mirosławcem. Do dziś najbliżsi, przyjaciele i sąsiedzi dwudziestu wojskowych nie mogą pogodzić się z tym, co zdarzyło się 23 stycznia 2007 roku. W rok od tragedii odzywają wspomnienia. W artykule Jarosława Jurkiewicza o tragedii samolotu Casa C-295M opowiadają ci, których dotknęła ona najmocniej. Zapraszam do lektury.

Tydzień Modlitwy o Jedność Chrześcijan

Dużo jest do zrobienia

W diecezji **tydzień wspólnych modlitw i refleksji nad wyzwaniem**, które stoją przed współczesnymi wyznawcami Chrystusa, rozpoczął się nabożeństwem ekumenicznym w Wałczu.

Modlimy się, by uczniowie Chrystusa, rozdzieleni w ciągu wieków, mogli się spotkać przy wspólnym stole eucharystycznym – wyjaśnia ks. Janusz Bujak, referent ds. ekumenizmu w diecezji. – Modlimy się także o to, by móc się już teraz spotykać bez wrogości, z przyjaźnią, miłością, zainteresowaniem drugim człowiekiem.

Zdaniem duchownych dialog ekumeniczny nie ogranicza się u nas do jednego tygodnia w roku.



Ekumeniczna modlitwa w wałeckiej cerkwi prawosławnej rozpoczęła obchody Tygodnia w naszej diecezji

– Zarówno między nami, duchownymi, jak i wiernymi naszych Kościołów dokonuje się na co dzień – mówi ks. mitrat Piotr Żornaczuk, proboszcz parafii pw. Świętej Trójcy w Wałczu, gdzie zainaugurowany został Tydzień.

– Więcej nas łączy, niż dzieli. Jesteśmy dziećmi jednego Boga i musimy przynajmniej próbować lepiej

się poznać. Odczuwam lekki niedosyt ekumenizmu na co dzień. Wprawdzie żyjemy obok siebie, kontaktujemy się w doraźnych sprawach, uczestniczymy we wspólnych nabożeństwach, ale jest jeszcze wiele zaszczości, z którymi trzeba sobie radzić – dodaje ks. prałat Romuald Kunicki, proboszcz wałeckiej parafii pw. św. Mikołaja.

Karolina Pawłowska

Pod skrzydłami aniołów



KOŁOBRZEG. Ks. Józef Słomski jako pierwszy został nagrodzony „Kołobrzeskim Aniołem”

Ksiądz prałat Józef Słomski na przestrzeni prawie 40-letniej działalności w kołobrzeskiej bazylejce był często wyróżniany medalami i nagrodami przez mieszkańców miasta. Do tych oznak wdzięczności 18 stycznia br. doszła jeszcze jedna. Stowarzyszenie Katolicka Inicjatywa Kulturalna nagrodziła zasłużonego księdza „Kołobrzeskim Aniołem”. Nagroda przyznawana jest po raz pierwszy. – Chcieliśmy w ten sposób podziękować tym wszystkim, którzy wspierają nas w licznych inicjatywach kulturalnych – mówi Ryszard Czepulonis, prezes stowarzyszenia. – Ksiądz prałat zawsze był dla nas dobrym aniołem – dopowiada. Do anielskiego grona zaliczono także M. Jagielkę, S. Witczańską, K. Adama. Nagrody wręczono podczas uroczystej gali w miejskim ratuszu.

Koniki i Perła



Wśród wyróżnionych kołobrzeskimi konikami znaleźli się m.in. Robert Szpak i Robert Gauer

KOŁOBRZEG. Mistrz świata juniorów w rzucie oszczepem Robert Szpak, artysta fotografik i właściciel Wydawnictwa Kamera Robert Gauer oraz dowódca wojsk lądowych generał Waldemar Skrzypczak zostali laureatami Kołobrzeskich Koników, przyznawanych przez prezydenta miasta Kołobrzeg Janusza Gromka. Nauczycielka polskiej szkoły w Alma-Acie Marta Zielińska uhonorowana została przez starostę Perłą Powiatu. Nagrody wręczono na noworocznym spotkaniu w hali Milenium. Do Kapituły

Kołobrzeskiego Konika wpłynęło 15 zgłoszeń osób, które zdaniem wnioskodawców w sposób szczególny wyróżniły się w ubiegłym roku i przyniosły chlubę miastu. Spośród nich kapituła nominowała do nagrody siedem osób. Poza nagrodzonymi byli to: historyk dr Hieronim Kroczyński, prezes Stowarzyszenia Turystyczno-Uzdrowiskowego Ryszard Woźniak, niepełnosprawny sportowiec i organizator imprez sportowych Marcin Racinowski oraz poeta i pisarz Lech Marek Jakób. **Marzena Bamber**

Będzie więcej łózek



Kolejne prace remontowe już zakończono – pacjenci będą krócej czekać na miejsca w białogardzkim Centrum Rehabilitacyjnym

BIAŁOGARD. Zakończył się kolejny etap remontu Centrum. Odnowiono drugą część budynku głównego, a także budynek administracyjno-techniczny, w którym znajdują się między innymi garaże dla karatek. W południowo-wschodnim skrzydle w nowych pomieszczeniach na trzech kondygnacjach przybędzie kolejnych sześćdziesiąt łózek. – W ubiegłym roku

na remont Centrum Rehabilitacji otrzymaliśmy w ramach kontraktu wojewódzkiego 24,5 mln złotych – mówi Krzysztof Bagiński, starosta białogardzki. Powstały także nowe miejsca parkingowe od strony ulicy Chopina, a także zagospodarowano pozostałe tereny zielone przed budynkiem, dzięki czemu powiększył się przyszpitalny park.

Karolina Pawłowska

Warsztaty Muzyczno-Liturgiczne

SŁUPSK. Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli w Słupsku organizuje Warsztaty Liturgiczno-Muzyczne. Odbędą się one 27 i 28 lutego w słupskiej parafii pw. św. Maksymiliana Kolbego. Zajęcia poprowadzą: Piotr Pałka, kompozytor krakowski, autor hymnu „Nie lękajcie się”, Hubert Kowalski, kompozytor i wokalista, oraz ks. dr Jacek Lewiński, wykładowca liturgiki i wicerektor koszańskiego Wyższego Seminarium Duchownego. – Zaproszeni

goście stworzą z nas chór i orkiestrę, a efekt będzie można usłyszeć 1 marca w kościele pw. św. M.M. Kolbego na Mszy św. o godzinie 13.00 – wyjaśnia Grażyna Maciejewska, współorganizator przedsięwzięcia. – Prosimy tylko wszystkich zainteresowanych, by koniecznie zabrali ze sobą instrumenty muzyczne. Informacje na stronie: www.obcz.slupsk.pl, tel (059) 842 34 62. Honorowy patronat nad warsztatami objął bp Edward Dajczak.



Miński dziecięcy zespół Reviu pod dyrekcją Natalii Romanowej, który gościł w Duminowie, wystąpił z przedstawieniem „Boże Narodzenie” dla kleryków z koszańskiego WSD

Pieniądze dla skansenu

Swołowo. Dziewięć milionów złotych na rozbudowę otrzymał skansen w Swołowie w powiecie słupskim. Za pieniądze z Unii Europejskiej i od marszałka województwa pomorskiego świętość odzyska dziewięć kolejnych zabytkowych budynków wiejskich. Do Swołowa zostanie przeniesiona kuźnia z Pępina, w której będzie można oglądać pracę kowala.

W stodołach będą przygotowane m.in. prezentacje multimedialne, poświęcone zjawiskom kulturowym regionu słupskiego, znajdzie się tam też sala kinowo-teatralna. W jednym z obiektów zaplanowano hodowlę ginących gatunków zwierząt: gęsi pomorskiej oraz owcy pomorskiej. Prace mają się zakończyć do grudnia 2011 r. **Katarzyna Kowalczyk**



Kolejne zabytki ze swołowskiego skansenu odzyskują dawny blask i piękno

Biskupia kolęda

Ucieszyć się człowiekiem

W mniejszych parafiach powoli dobiega końca.

W dużych jest blisko półmetka. Kolęda.

Wizyta duszpasterska budzi emocje. Czekamy na kapłana, który poświęci nam mieszkanie i da impuls do wspólnej modlitwy. Podczas niej możemy podzielić się własnym doświadczeniem wiary i nękającymi nas kłopotami. Za wcześnie jest jeszcze, by powiedzieć, jaki miała przebieg w tym roku. Na podsumowanie przyjdzie czas. Oprócz księży kolędują także biskupi naszej diecezji.

Wspólnota kapłańska

Biskup ordynariusz dociera w różne zakątki diecezji, by podzielić się opłatkiem, wypowiedzieć jakąś myśl, zachęcać do dobra. Zadanie nie jest łatwe. Kiedy bp Edward Dajczak opowiada nam o swoich bardzo osobistych doświadczeniach kolędowych, jest świeżo po takiej wizycie w dekanacie trzcinieckim. Kolęda odbyła się w Krzyżu Wlkp. By tam dojechać i wrócić, należy pokonać ponad 500 km.

– Moja kolęda jest specyficzna. Tak jak kapłani spotykają się ze swoimi parafianami w ich domach, by wspólnie przeżyć chwilę z Bogiem, tak ja odwiedzam moich braci kapłanów na terenie diecezji. To samo czyni biskup Paweł, a wspiera nas biskup Tadeusz – mówi biskup Dajczak. – Kapłańska kolęda zaczyna się na kolanach w kościele przed Najświętszym Sakramentem – jednym kapłanem Nowego Przymierza. Próbujemy przeżyć wspólnotę wiary – dodaje.

Nasza diecezja ma 24 dekanaty. W wyznaczonych parafiach gromadzą się duszpasterze pracujący na danym terenie.

– Dekanat jest strukturą kościelną, gdzie ta bliskość współpracy jest najbardziej konieczna. Tam się tworzy wiele wspólnych działań duszpasterskich. Stając w tych małych wspólnotach kapłańskich z opłatkiem w ręku, mam okazję podziękować moim braciom księżom za dobro i przeprosić za moje błędy. Takie też są, popełnione czasem zupełnie nieświadomie – wyznaje ordynariusz koszaliński.

– Tak jak rozmawia się na kolędzie z wiernymi o wierze, tak my rozmawiamy o swojej wierze, miłości do Jezusa. Zamyślamy się nad swoim kapłaństwem podarowanym nam przez Boga. Moja modlitwa, posługa w konfesjonale i działania duszpasterskie



W grudniowy wieczór w ośrodku Caritas w Kołobrzegu dzielił się opłatkiem z lekarzami

– to wszystko jest ze sobą ściśle powiązane. Dlatego podczas naszej kolędy chcemy się wesprzeć, ale też nabrać oddechu – opowiada ksiądz biskup.

Którędy do Ciebie?

Spotkania ordynariusza z kapłanami, katechetami i bliskimi współpracownikami napełniają go nadzieją. Wierzy, że pomogą znaleźć klucz do rozwiązania nurtującego go problemu: jak skutecznie głosić Ewangelię.

– Coraz więcej rozumiem moich współpracowników i coraz bardziej odkrywam tajemnicę sukcesu jednych działań duszpasterskich i porażki innych. Łatwiej już mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak jest. Trudności nie wynikają z tego, że komuś się czegoś nie chce. Poznanie człowieka, jego historii – której przecież dopiero się uczę – pozwala skuteczniej, owocniej działać. Odkrywam też dary, talenty, charyzmaty moich współpracowników i osób świeckich. A to jest dla mnie bardzo ważne. Na podstawie m.in. tej wiedzy postaramy się opracować pięcioletni program duszpasterski dla całej diecezji, który będzie uszczegółowieniem ogólnopolskiego programu obowiązującego od 2010 r. – deklaruje bp Edward.

Parę zdań

– Inny wymiar mojego kolędowania to spotkania z opłatkiem w dłoni w różnych miejscach diecezji z ruchami, stowarzyszeniami, duszpasterstwami, grupami społecznymi i zawodowymi – mówi biskup.

Choć wymagają one „pawłowego” trudu (św. Paweł przemierzył ok. 20 tys. km!), nie są dla biskupa udręką. Wręcz przeciwnie. Każde z nich jest inne, ale każde przepełnione życzliwością i dobrem.

– Kiedy mogę stanąć przed człowiekiem i zamienić choćby kilka zdań, nawiązuje się relacja. Widzę, że ci ludzie też się cieszą. Przecież nie tylko ja poznaję społeczność diecezji. Diecezjanie poznają mnie. I to jest istotne, by nie pozostać dla siebie obcymi – tłumaczy.

Bp Edward na przykład w Szkole Policji w Słupsku mówił o pielęgnowaniu dobra w sobie, by nie ulec przeświadczeniu, że wszystko wokół jest złe.

– Jeżeli policjantowi świat nie ma się zamknąć w przestrzeni zła, to musi w sobie kształtować przestrzeń dobra. Inaczej zbyt jednorodnie wszystko pouklada. Będzie patrzył negatywnie na otoczenie. A świat nie jest tylko zbiorem ludzi trudnych i przestępców – przekonywał. Samorządowców zachęcał do pracy nad swoim człowieczeństwem i zauważaniem człowieka.

– Od tego, kim jest samorządowiec, nie w sensie profesjonalności zarządzania, ale jako człowiek, będą zależały wszystkie relacje jego profesjonalnej pracy – wyjaśnia. Pionierom dziękował za ich trud i pracę. Dawał nadziei. Po tych spotkaniach przyjdzie czas na inne – już nie w atmosferze kolęd i opłatka. Ale biskup ordynariusz wierzy, że będą równie dobre i równie owocne.

Ks. Dariusz Jaślarz



Wśród laureatów wyróżnienia są duchowni i świeccy, instytucje, organizacje i osoby prywatne – łączy ich bezinteresowna i spontaniczna chęć pomagania

Spółecznicy uhonorowani

Następcy Świętego Mikołaja

W słujskim kościele św. Jacka po raz ósmy rozdano doroczne statuetki Świętego Mikołaja Biskupa.

Oceniono pracę ludzi na rzecz innych osób, szczególnie dzieci z rodzin ubogich. Ale nie tylko. Liczy się również praca na rzecz dzieci i młodzieży zagrożonej patologią.

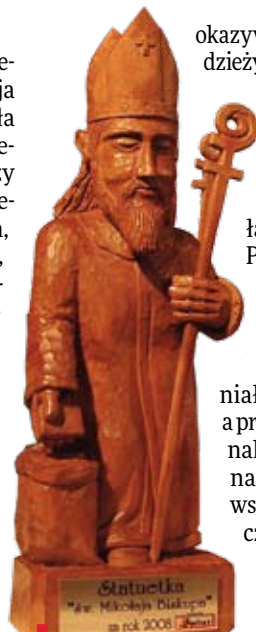
Siedem osób ze wzruszeniem, przy dźwiękach fanfar, odebrało nagrody za działalność w roku 2008. Akademia Nagrody św. Mikołaja Biskupa uhonorowała ich za to, że nie oczekując podziękowania, bezinteresownie i spontanicznie poświęcają swój czas i nierzadko pieniądze na działalność na rzecz dzieci i młodzieży, w myśl zasady, którą w Drugim Liście do Koryntian wyraził św. Paweł: „Radosnego dawcę miłuje Bóg”.

Promocja dobra

Tegorocznymi laureatami zostali: Fundacja im. Księdza Kardynała Ignacego Jeża za wspieranie zdolnej młodzieży z ubogich rodzin z terenów popegeerowskich, Robert Danielkiewicz, dyrektor drugiego oddziału Banku Zachodniego WBK w Słupsku, Renata i Roman Baranowscy z Kamienicy Królewskiej za wieloletnie wspieranie inicjatyw słujskiej Caritas, Bogusława i Andrzej Adamkiewicz prowadzący w Słupsku rodzinę zastępczą o charakterze pogotowia opiekuńczego, w której opiece i miłość znalazło dwadzieścioro dzieci, Marek Biernacki za wspieranie oratorium salezjańskiego i wyjazdów drużyn sportowych słujskiego Salosu, Grażyna Maciejewska – pedagog i wychowawca młodzieży, a także autorka niezwykle popularnych w całym kraju piosenek religijnych dla młodzieży, oraz pielęgniarka Alicja Karol za

okazywane dzieciom i młodzieży serce i poświęcenie.

Listowne gratulacje uhonorowanym wraz z błogosławieństwem dla przyszłej działalności przesłał bp Paweł Cieślak, który również należy do prestiżowego grona laureatów nagrody. – To wspaniała promocja dobra, a przede wszystkim jednak zwrócenie uwagi na dzieci, które we współczesnym świecie często pozostawione są samym sobie – mówił o przedsięwzięciu bp Paweł.



Statuetka Świętego Biskupa Mikołaja jest niewielka, ale zaszczyt ogromny – żartują laureaci

Oby jak najwięcej

Statuetki św. Mikołaja Biskupa to znana w Słupsku i prestiżowa nagroda. Inicjatywa zrodziła się w jubileuszowym roku w Słupsku, a jej pomysłodawcą i propagatorem jest Zbigniew Żynis. – Sam miałem trudne, biedne dzieciństwo i byłem okropnym łobuzem. Doświadczyłem wielkiej pomocy

od ludzi. To wszystko sprawiło, że umiem dzisiaj docenić tych, którzy poświęcają czas i pieniądze dzieciakom potrzebującym wsparcia – opowiada inicjator akcji. – Uważam, że trzeba tych ludzi „wyciągać” na światło, jako żywe wspaniałe świadectwo.

Początkowo statuetki przyznawano lokalnym społecznikom. Z każdym rokiem grono uhonorowanych nią powiększa się i zatacza coraz szersze kręgi. Wzrosła także liczba przyznawanych wyróżnień. – Początkowo chcieliśmy przyznawać najwyżej trzy–cztery statuetki rocznie. Poznając jednak kolejnych ludzi, kolejne instytucje i zastanawiając się, „komu się należy”, spotykaliśmy mnóstwo wspaniałych kandydatów – śmieje się Zbigniew Żynis. – Na szczęście nie narzekamy na brak ludzi robiących wiele dobrego, co najwyżej ubolewamy, że tych statuetek jest za mało.

Uroczystość przyznania statuetek, których współprojektantem i wykonawcą jest znany słujski rzeźbiarz Antoni Wilma, uświetnił występ dzieci z Białorusi, goszczących u ks. Jerzego Wyrzykowskiego, proboszcza parafii w Duninowie. Dla laureatów zaśpiewał i zatańczył zespół „Reviu” pod kierunkiem Nataszy Romanowej.

Karolina Pawłowska

Gdy na dworze jest 5 stopni poniżej zera, a woda zamarza, morsy pewnie wchodzą do morskiej kąpieli.

Do kąpieli w lodowatej wodzie nie byłem przekonany. Nie bałem się zimna, lecz tego, czy pokonam wewnętrzną barierę – wspomina Jacek Kot.

Wstuchać się w organizm

– Pierwszy raz wszedłem do lodowatej wody na minutę, bo dzięki podpowiedziom doświadczonych kolegów wiedziałem, że nie należy bić rekordów, tylko wstuchać się w swój organizm. Teraz moja kąpiel trwa około kwadransa – mówi.

Pan Jacek jest astmatykiem, jednak przekonuje, że dzięki kąpielom od kilku miesięcy nie przyjmuje leków.

Zdaniem Marka Mazurka, internisty, bycie morssem wzmacnia odporność i jest o wiele skuteczniejsze niż jakiegokolwiek szczepionki przeciw grypie.

– Jednak ważne jest, żeby przed podjęciem decyzji o pierwszym wejściu do wody skonsultować się ze swoim lekarzem. Są choroby, szczególnie układu krążenia, które wykluczają ten rodzaj aktywności – podkreśla lekarz. – Bardzo ważne jest, by przed wejściem do wody dobrze się rozgrzać i wchodzić powoli, ochlapując się.

Piękna skóra i relaks

Dla Katarzyny Świniarskiej kąpiele w morzu zimą są sposobem na ładną skórę i zdrowie.

– Już tak się przyzwyczałam do takiego sposobu spędzania wolnego czasu, że jeżeli z jakiś powodów nie mogę zanurzyć się

Sposób na zdrowie

Zimno, zimniej, szczęśliwy mors



Przed wejściem do wody morsy przeprowadzają porządną rozgrzewkę

PONIŻEJ: Te uśmiechnięte elfy wylegują się w wodzie o temperaturze – 2°C. Jak widać, humory dopisują

w zimnej wodzie, to bardzo mi tego brakuje. Uważam, że bez względu na wiek jest to wspaniały sposób na relaks, polecam to każdemu – mówi.

Z kolei Jacek Kot zapewnia, że kąpiele wpływają również na psychikę.

– Morsowanie nie tylko leczy, hartuje i uodparnia. Skoro pokonałem swoją słabość i wszedłem do lodowatego Bałtyku, to jestem w stanie naprawdę poradzić sobie ze wszystkim – podkreśla.

– W Jarosławcu przechodziliśmy chrzest na morsa. Złożyliśmy ślubowanie, że będziemy się kąpać od października do kwietnia, choćby wiało, padało, lodem skuwało. Po przysiędze musieliśmy wypić po kieliszku tranu, następnie przejść przez orszak Posejdona, który nas smagał brzoźowymi wiciami – śmieje się zimowy pływak.

Koszaliński Posejdon

Szefem koszalińskiego klubu morsów „Posejdon” jest pan Sylwester Zalewski. Wśród morsów są zarówno kierowcy, jak i prawnicy i lekarze.

– W tej chwili mamy 92 członków, a kąpie się z nami 130 osób. Te liczby są płynne, gdyż po każdej kąpieli czy też publikacji prasowej zgłaszają się do nas ludzie, którzy chcą się przyłączyć, zmierzyć ze sobą – wyjaśnia prezes.

Członkowie „Posejdona” byli inicjatorami zorganizowania Międzynarodowego Zlotu Morsów, przez kilka lat byli też jego organizatorami.

– W zeszłym roku do Miela przybyło ponad 900 uczestników, w tym dwóch morsów aż z Nowego Jorku. Myślę, że w tym roku, 14 lutego, będzie nas jeszcze więcej – tłumaczy prezes.

Julia Markowska



Czas nie wyleczył

Po katastrofie. To wydarzenie zmroziło całą Polskę: dokładnie rok temu doszło do największej od czasów II wojny światowej katastrofy w polskim lotnictwie wojskowym.

tekst i zdjęcia

JAROSŁAW JURKIEWICZ

koszalin@goscniedzielny.pl

Na skraju lasu pod Mirosławcem 23 stycznia 2008 r. rozbił się samolot transportowy CASA C-295M. Na pokładzie było 16 wojskowych, wracających z konferencji na temat bezpieczeństwa lotów, i czterech członków załogi. Wszyscy zginęli.

jeśli ze Świdwińskiego lotniska spóźnił się na pociąg do Koszalin, nocował u rodziców.

Tym razem, 23 stycznia, nie zapowiedział się na noc. Jego matka Bronisława Smołucha wieczorem w telewizji usłyszała

o katastrofie. – Tylu dowódców było w tym samolocie, sama wierzuska. Pomyślałam, że Krzyśka w ogóle nie powinno tam być – opowiada. – W takich chwilach człowiek zawsze odpycha od siebie złe myśli.

Następnego dnia rano z Trzebiatowa przyjechał drugi syn. – Byłam zdziwiona: w środku tygodnia i to tak wcześnie. Ucałował mnie i powiedział: Krzysiek leciał tym samolotem, wszyscy zginęli! Nogi się pode mną ugięły.

Smołuchowie od lat 50. mieszkają w Świdwinie. Bolesław Smołucha, ojciec Krzysztofa, tuż po wojnie służył na Pomorzu w wojsku: władza uznała

a przeżyłem swojego syna. Ale co czuły żony tych wojskowych, co czuły ich dzieci?!

To niemożliwe!

Major Bogdan Ziółkowski z 12. Bazy Lotniczej w Mirosławcu był przy rozbitym samolocie kilkanaście minut po katastrofie. Przerazający widok. W świetle wozów strażackich trudno było odgadnąć, czy leży ciało, czy resztki samolotu. Przyznaje jednak, że adrenalina tak wtedy działała, że wciąż myślał, co jeszcze trzeba zrobić. Dopiero potem uprzytomnił sobie: tu może leżeć ktoś znajomy. Ks. Edward Matyśnik, proboszcz z Mirosławca, krótko przed tragedią wrócił z wizyty duszpasterskiej. Ktoś zadzwonił, że na lotnisku zdarzył się wypadek. Jechał z myślą,

że to tylko niegroźne zdarzenie. – Na miejscu mogliśmy tylko udzielić poległym rozgrzeszenia

i odpustu zupełnego – opowiada kapłan. – Wielka trauma, która przerosła nawet nas, duchownych.

O katastrofie lotniczej inaczej słucha się w telewizji. – Ogromniszcień, tego nie da się opisać. I lepiej tego nie oglądać.

Połowa z 20 poległych żołnierzy pochodziła ze Świdwina. Podpułkownik Łucjan Siwiec, emerytowany szef sztabu stacjonującej w Świdwinie I Brygady Lotniczej Taktycznego, znał prawie wszystkich. – Lotnictwo to zamknięty krąg ludzi. Nawet porucznik Robert Kuźma, który służył w Krakowie i pilotował tę CASĘ, szkolił się u nas na Su-22. Ze Zbyszkciem Książkiem kończyliśmy szkołę oficerską w Jeleniej Górze. Jesteśmy z jednej promocji. Trudno uwierzyć, że tych ludzi się już nie zobaczy.

Sytuacja bez precedensu – zginęli dowódcy trzech działających w Świdwinie jednostek

Ten tragiczny wieczór rodziny i przyjaciele lotników zapamiętają do końca życia.

Nasz syn też tam był

Major Krzysztof Smołucha miał 53 lata. Był najstarszym żołnierzem na pokładzie samolotu CASA. Pracował w Dowództwie Sił Powietrznych w Warszawie. Kiedy wracał na weekend do rodziny w Koszalinie, zabierał się po koleżeńsku samolotem wojskowym. Wsiadał w Świdwinie. W tym mieście się wychował, tu mieszkali jego rodzice. Więc czasem,

go za element politycznie niepewny, więc za karę budował pasy startowe, m.in. w Świdwinie i Mirosławcu. – No i wybudowałem lotnisko dla syna – mówi z goryczą.

Krzysztof kończył w Świdwinie przedszkole, szkołę podstawową i średnią. W liceum załapał językowego bakcyła. Potem w Szkole Oficerskiej w Koszalinie był kierownikiem kursu języka angielskiego. Dużo jeździł po świecie: w USA szlifował język, w Iraku pracował w komisji kontrolującej pałac Husajna, przez rok był obserwatorem z ramienia ONZ na pograniczu Etiopii i Erytrei, ostatnio był w Rzymie. – Bałam się, kiedy Krzysztof musiał latać samolotami – przyznaje Bronisława Smołucha. Mąż gładzi czoło. – Stary jestem,

Wśród innych nazwisk poległych na tablicy w Świdwinie jest także nazwisko syna państwa Smołuchów



ran

wojskowych. Żałoba w mieście trwała prawie miesiąc. Cisza na niebie była nie do zniesienia. Dla mieszkańców Świdwina normalną sytuacją jest, kiedy samoloty robią szum. To znaczy, że jednostka funkcjonuje, a dzięki niej żyje miasto.

Łucjan Siwiec wciąż ma przed oczami 20 karawanów, które przejechały przez centrum Świdwina w dniu pożegnania pilotów. Pogrzeby odbyły się w różnych miastach. Krzysztofa Smołuchę, pośmiertnie awansowanego na stopień podpułkownika, żegnali w Koszalinie znajomi, nauczyciele i koledzy. Za trumną szedł nieprzebrany tłum ludzi.

Sześciu rosnących wojskowych dźwigało trumnę Krzysztofa. Ciężar wyginał im palce. Pani Bronisława zdążyła pogłaskać portret, który niósł żołnierz. – Jestem ciekawa, co było w tej trumnie. Może jednak lepiej nie wiedzieć?

Nie potrafią podnieść głów

W rok od tragedii odżywają wspomnienia. Zofia Zatorska, anglistka z Liceum w Świdwinie, była wychowawczynią Krzysztofa Smołuchy. To była jej pierwsza klasa po studiach. – Spokojny,

nie szukał wrażeń, nie rozrabiał – opowiada o swoim dawnym uczniu. Kolega ze szkoły krótko po katastrofie tak napisał na portalu „Nasza klasa”: „Na wuefie mieliśmy biegi, ja zostałem w tyle. Krzysztof poczekał, żeby mi towarzyszyć. Dobrze, bo przecież ciężko biegnie się w pojedynkę”. – On taki był. Solidny, można było na niego liczyć – mówi Z. Zatorska, dodając, że była wychowawczynią także innego poległego lotnika, Zbigniewa Książka. – Dobry mąż i ojciec. Przychodził na wywiadówki do córki. Bo ona też była w mojej klasie...

I Krzysztof Smołucha, i Zbigniew Książka utrzymywali kontakty z dawną nauczycielką. U obu była na weselach. U obu była też na pogrzebach. – Tak trudno pogodzić się z tą tragedią. Krzywdy skupiają się na ludziach dobrych, oni zbierają w życiu ciężgi. Mniej pozytywni jakoś pchają swój wózek. Często mijam rodziny zmarłych lotników. Każdy zachowuje się tak, jakby pogodził się z losem. Ale ból jest wyrysowany na ich twarzach. Rodzice nie potrafią podnieść głów – podkreśla pani Zofia. Jan Owsiak, burmistrz Świdwina, dodaje: – Czas goi rany, ale ich nie leczy.



Teczka z kondolencjami, także od prezydenta Kaczyńskiego

Zostało tylko zdjęcie

Bronisława Smołucha wie o tym najlepiej. – Długo po tej tragedii nie mogłam się pozbierać. Odchodziłam od zmysłów. Krążyłam od okna do okna. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Żadne czynności domowe się mnie nie imały – mówi. Nie obeszło się bez pomocy lekarza. Dziś jest nieco spokojniejsza. – Wytłumaczyłam sobie, że nie mogę się poddać takiej stagnacji, bo całkiem oszaleję – opowiada. Przyjaciele też powtarzali, że musi wrócić do życia, bo przecież jest jeszcze chora córka. – Wciąż biorę leki, ale łatwiej zasypiam. Jestem już wyciszona. Choć smutek rozdziera duszę; bo przecież to moje dziecko tak haniebnie zginęło.

Bolesław Smołucha bierze do ręki oprawione zdjęcie syna. – To nam po nim zostało.

Pani Bronisława po raz kolejny otwiera teczkę z dokumentami: list od prezydenta Kaczyńskiego i kondolencje od oficera, który po tragedii pełnił obowiązki dowódcy 21. Bazy Lotniczej. „Latali ku słońcu, a dotknęli nieba” – napisał pułkownik. Kartka od znajomych ze Szczecina, kondolencje od przyjaciół z Bonn w Niemczech. Zaraz po katastrofie odbierali telefony z różnych stron świata: dzwonił kuzyn z Kanady i brat z Anglii. – A w Świdwinie każdy zatrzymywał się na ulicy. Bo my tu znamy wielu ludzi. Coś mówili, podawali rękę albo się przytulali – wspomina. – To pozwoliło przetrwać najgorszy czas.

Pod koniec marca ubiegłego roku, w miejscu, gdzie rozbił się

samolot, odsłonięto pamiątkowy obelisk. Rodzice Krzysztofa Smołuchy nie mieli siły, żeby tam pojechać. Nie byli tam do tej pory. W październiku, kiedy wojsko na świdwińskim placu Lotników odsłaniało pamiątkową tablicę z nazwiskami poległych żołnierzy, poszli z wiązką. Pewnie pójdą tam także, kiedy zostaną zorganizowane obchody rocznicowe. Zamówią też Mszę św. w intencji syna. Najlepiej w niedzielę, żeby więcej ludzi się za niego mogło pomodlić. ■

Doświadczenie wspólnoty

Ks. EDWARD MATYŚNIAK,
PROBOSZCZ PARAFII
PW. NIEPOKALANEGO POCZĘCIA
NMP W MIROSŁAWCU
– Po tej katastrofie pytanie o sens cierpienia padało z pewnością w każdym sercu. Odpowiedzi trzeba szukać w Piśmie Świętym, w modlitwie. I być z bliskimi poległych lotników, trwać przy nich duchowo czy fizycznie. Doświadczenie wspólnoty było największym wsparciem. Stale modliliśmy się za poległych. To była ogólnopolska akcja modlitewna otoczenia rodzin łańcuchem dobrych serc. Dzień w dzień w miejscu tragedii palą się znicze, ludzie przychodzą pod pomnik, modlą się tam. To ważne, że pamiętają.



Tylko tyle nam zostało – mówi Bolesław Smołucha, wskazując na zdjęcie syna



Po dachowaniu należy zachować spokój i nie odpinać pasów



Po opatentowaniu symulatora, wynalazca zamierza szkolić służby ratunkowe, kierowców i pasażerów

ZDJEŃCJA JULIA MARKOWSKA

Ciekawi ludzie

Zawód: ratowanie życia

Jarek Kalenik podkreśla, że to nie tylko zajęcie, ale i pasja. Dzięki temu powstał symulator, który może uchronić wielu z nas od śmierci.

Kiedy prowadziłem wykład i opowiadałem o zasadach udzielania pierwszej pomocy, jakiś uczeń zapytał mnie, jak pomagać ludziom, gdy są uwięzieni w aucie leżącym na dachu – mówi Jarek Kalenik, ratownik medyczny, wykładowca, Prezes Polskiego Towarzystwa Ratownictwa Medycznego. – Nie potrafiłem mu odpowiedzieć i sam zacząłem szukać odpowiedzi na to pytanie. W ten sposób powstała idea stworzenia symulatora, którą właśnie zrealizowałem. Kosztowało mnie to około 30 tys. złotych, ale było warto – dodaje.

Na symulatorze można się uczyć, jak uwolnić się z samochodu, gdy pojazd znajduje się kołami do góry lub pod dowolnie wybranym kątem. Zdaniem ratownika, najłatwiej jest wydostać się z samochodu po stronie pasażera, o wiele trudniej jest kierowcy, ponieważ kierownica bardzo ogranicza pole poruszania się.

Nie odpinać pasów

Ale nie zawsze wszystko kończy się szczęśliwie. Niestety, pierwszą czynnością, jaką poszkodowani wykonywali nieraz po dachowaniu, było odpięcie pasów.

– Na tym etapie nie wolno odpinać pasów bezpieczeństwa. Powoduje to bowiem gwałtowne uderzenie głową w dach samochodu i, niestety, przerwanie rdzenia w odcinku szyjnym kręgosłupa, czyli śmierć – mówi ratownik. – Aby bezpiecznie wydostać się z samochodu, należy sprawdzić, czy na dachu, który stał się podłogą, nie znajdują się żadne ostre przedmioty, czyli fragmenty szyb czy też rzeczy przed wypadkiem znajdujące się w aucie. Powinniśmy je w miarę możliwości usunąć, sprawdzając oczywiście, czy nie raniimy współpasażerów – tłumaczy.

Następnie taka osoba powinna się od dachu jak najbardziej oburącz odpychać i wbijać pośladki w fotel i powoli przekładać nogi na dach. Kiedy to się uda, jedną ręką należy odpiąć pasy, obrócić się, otworzyć drzwi, jeżeli jest to możliwe, i wyjść z pojazdu.

Suchy opis, co trzeba robić w takiej sytuacji, nie oddaje tego, jak powinniśmy się zachować. Dopiero gdy zawisniemy głową dół, nawet w warunkach szkoleniowych,

czujemy, jak bardzo stresujące jest to zdarzenie. Zdaniem wynalazcy, jest to jedyny tego typu symulator w Polsce, trwa procedura jego opatentowania.

– Jest on przeznaczony dla kierowców, pasażerów, ratowników medycznych, strażaków policjantów – informuje Jarek Kalenik.

Trzeba szkolić

Zdaniem ratownika, Polacy niewiele wiedzą o pierwszej pomocy.

– Wielokrotnie na miejscu wypadku widziałem, że ludzie chcieli pomóc poszkodowanym, ale tego nie potrafili zrobić – wyjaśnia ratownik. – Wszystko, co zarobię, inwestuję w pierwszą pomoc. Posiadam fantom (model górnej części ciała ludzkiego służący do nauki udzielania pierwszej pomocy), który kosztuje ponad 16 tys. złotych. Wygląda może niepozornie, ale jest tak naszpikowany elektroniką, że po podłączeniu komputera lub na wydrukach pokazuje w mililitrach ilość powietrza wtlaczanego do płuc rannego. Ocenia również kilkadziesiąt innych parametrów poprawności pracy ratownika medycznego – wylicza.

Towarzystwo, któremu prezesuje, nastawiło się na działalność naukowo-szkoleniową. Dlatego za darmo przeszkolili kilkudziesięciu studentów politechniki.

Planują też różne inne szkolenia, aby przekonać ludzi, że udzielanie pierwszej pomocy to nic strasznego.

To dopiero początek

Jarek Kalenik pracował jako ratownik medyczny w kołobrzesckim pogotowiu. Teraz jako ekspert Ministerstwa Zdrowia decyduje o podziale środków na dofinansowanie ambulansów i w związku z tym musiał, na pewien czas, zawiesić swoją zawodową działalność.

– Zmienił się stosunek ludzi do ratowników medycznych. Gdy karetki zaczęły wyjeżdżać do różnych zdarzeń bez lekarzy, okazało się, że czarny scenariusz przedstawiany przez większość mediów nie sprawdził się – mówi zadowolony. – Pacjenci nie umierali w karetkach, lecz otrzymywali fachową pomoc. Nawet czasami nie zauważają różnicy, że nie ma wśród nas lekarza.

Kalenik niecierpliwie czeka na opatentowanie swego wynalazku, planuje doktorat, prowadzenie profesjonalnych kursów kwalifikowanej pierwszej pomocy. By to zrobić, musi wedle wymogów ministerstwa zainwestować jeszcze w sprzęt około 60 tys. złotych. Na szczęście zapału nie brakuje, bo gdy uratuje się życie człowieka, to energii starczy na bardzo długo. ■